

Polska szkoła na równi pochyłej

20 października 2019

Coraz bardziej widoczne oraz uciążliwe stają się koszty zaniechań i błędów popełnionych przez PiS w oświacie.

Polska nie ma szczęścia do reform edukacyjnych. Właściwie wszystkie zmiany systemowe w oświacie jakie wprowadzały władze, były dość powszechnie krytykowane i nie budowały zaufania ani do szkół, ani do państwa. Czasem przyczyną złego odbioru społecznego bywało ich nieprzygotowanie połączone z niekonsekwencją. Tak było na przykład z wprowadzeniem gimnazjów, które w zamyśle miały ułatwić uczniom z regionów i rodzin nieuprzywilejowanych, dostęp do dobrze wyposażonych szkół średniego szczebla oraz opóźnić próg selekcji do liceów, ale ten słuszny zamysł rozbijał się o nieprzestrzeganie rejonizacji.

Niekonsekwentne wprowadzanie zmian w oświacie szło zazwyczaj w parze z brakiem przekonującego tłumaczenia sensu reform. Przykładem może być szeroka i skuteczna mobilizacja społeczna przeciwko obniżeniu wieku szkolnego do lat 6. Podobnie jak w przypadku gimnazjów, zasadniczym celem tej reformy było wyrównywanie szans edukacyjnych – w tym przypadku poprzez przyspieszenie kontaktu z systemem edukacyjnym, co byłoby szczególnie korzystne dla dzieci z rodzin nieuprzywilejowanych, o niższym kapitale kulturowym. Jednak nikt tego celu społeczeństwu przekonująco nie wyjaśnił, nie podjęto też wspólnie ze szkołami wysiłku, aby pokazać korzyści ze zmiany, Prawo i Sprawiedliwość wyciągnęło z tych wszystkich błędów wnioski – i postanowiło zreformować polską szkołę bez żadnego jasno określonego celu.

Centralizacja nade wszystko

PiS wiedziało, że populistycznej polityki oświatowej nie da się przeprowadzić bez zwiększenia kontroli rządu nad szkołami. Dlatego niemal jednocześnie z podniesieniem wieku szkolnego do 7 lat, zwiększono kompetencje wojewódzkich kuratorów oświaty i wymieniono większość z nich na osoby zaufane.

Kurator, niczym wojewoda, stał się swoistym emisariuszem rządu w terenie, posiadającym od tej pory część kompetencji, które wcześniej należały do samorządów. Przyznano mu na przykład prawo do decydowania o likwidacji szkół oraz nadzór nad ośrodkami doskonalenia nauczycieli. Ponadto kuratorzy, dotychczas powoływani przez wojewodów, teraz mianowani są bezpośrednio przez ministra edukacji.

Wzmocnienie kuratorów wpisuje się w szerszy, centralizacyjny kierunek polityki PiS. W środowiskach eksperckich zajmujących się oświatą od dawna zgłaszano pomysł całkowitej likwidacji kuratoriów, skoro do momentu przejęcia władzy przez Prawo i Sprawiedliwość raczej ograniczano ich rolę, przekazując zarządzanie finansami szkół samorządom, a nadzór nad egzaminami centralnej komisji. Jednak ponowne wzmocnienie roli kuratorów i ich ściślejsze powiązanie z rządem oznaczało koniec pomysłów na zwiększenie szkolnej autonomii, na przykład poprzez zastąpienie kuratoriów radami oświatowymi, w których zasiadałoby przedstawiciele władz samorządowych, szkół i rodziców.

Zamiast większego wpływu na edukację, uczniowie, nauczyciele i rodzice dostali więcej centralizacji.

Szanse tylko dla bogatych

Likwidacja gimnazjów oraz ponowne podniesienie wieku rozpoczęcia nauki cofnęły pozytywny trend w myśleniu o polskiej szkole, polegający na dążeniu do uczynienia jej

narzędziem wyrównywania szans życiowych.

Wiele osób, które kształciło się w starym, analogicznym do przywróconego reformami PiS systemie ośmioletniej szkoły podstawowej i czteroletniego liceum, być może obruszy się na ten zarzut. W końcu skoro oni odebrali edukację według dawnego modelu i nie narzekają, to może owiane złą sławą gimnazja czy budzące obawę wcześniejsze posłanie dzieci do szkoły nie są warte obrony?

Ponadto badania zadowolenia z poziomu nauczania, przeprowadzone przez CBOS po reformach PiS, pokazują, że większość respondentów ocenia te działania raczej pozytywnie. Najwyżej oceniano szkoły podstawowe i licea, ale nawet w tak krytykowanych gimnazjach poziom nauki był oceniany jako dobry przez 41 proc. respondentów, a jako zły przez 27 proc.

Jednak z badań forum idei Fundacji im. Stefana Batorego wynika, że pod pozorami zadowolenia z poziomu polskiej szkoły kryje się wiele działań oraz opinii świadczących o czymś wręcz przeciwnym. Polscy rodzice wydają znaczące sumy na korepetycje, średnio 420 złotych w miesiącu.

Z płatnej pomocy w nauce korzysta ponad 34 proc. rodzin z dziećmi w wieku szkolnym, przede wszystkim dobrze wykształconych, nieźle sytuowanych i mieszkających w dużych miastach. Natomiast połowa rodziców z wykształceniem podstawowym i połowa rodzin, gdzie dochód na osobę nie przekracza 900 złotych miesięcznie, posłałaby dziecko do szkoły prywatnej, gdyby na przeszkodzie nie stało czesne.

Z tych danych wyłania się pesymistyczny obraz szkoły, która nie tylko przestała zmierzać w kierunku wyrównywania szans, ale nie jest w stanie zaspokoić edukacyjnych aspiracji Polaków. Zamożniejsi i lepiej wykształceni realizują je, dopłacając z własnej kieszeni, biedniejsi i gorzej wykształceni snują niemożliwe do zrealizowania marzenia o szkołach prywatnych.

Pozytywna opinia o jakości kształcenia w polskich szkołach okazuje się zatem nie przystawać do rzeczywistości – jest raczej odzwierciedleniem rozbudzonych aspiracji edukacyjnych społeczeństwa niż faktyczną oceną jakości wykształcenia. A od dawna idzie w parze z negatywną korelacją między wykształceniem a zaufaniem do systemu edukacyjnego.

Lepiej wykształceni Polacy mniej ufają szkołom, co wiąże się z większą gotowością do uzupełniania niedostatków za pomocą zajęć opłacanych z własnej kieszeni. Gorzej wykształceni są bardziej skłonni ufać w jakość edukacji, bo nie dysponują innymi narzędziami awansu społecznego.

Z problemem wydatków na korepetycje bezpośrednio wiąże się problem przeładowanych i archaicznych podstaw programowych. Prawo i Sprawiedliwość nie tylko przywróciło dawny system organizacji prac szkół, ale powieliła też, a w przypadkach niektórych przedmiotów wręcz potęguje nieadekwatne obciążenia zbyt dużą ilością materiału.

W wystąpieniu Rzecznika do byłej już minister Anny Zalewskiej z listopada 2018 roku czytamy na przykład: „Realizacja podstawy programowej nie powinna wiązać się z nakładaniem na uczniów dodatkowych, pozaszkolnych obciążeń. Tymczasem jestem informowany o sytuacjach delegowania na uczniów i ich rodziców części zadań związanych z kształceniem. Taka praktyka to przede wszystkim prace domowe w niepokojącej ilości, a także zadawanie tematów nieprzerobionych na lekcji do samodzielnego opracowania. Ma to bezpośredni wpływ na ograniczenia prawa dzieci do czasu wolnego, zabawy i rozwijania własnych zainteresowań, a także przyczynia się do postępującego przemęczenia uczniów”.

Rozprawić się z nauczycielami

Odkąd PiS zmienił system organizacji prac szkół i po prostu przepisał podstawy programowe lub wręcz spotęgował ich największe wady – kompletnie nie biorąc pod uwagę, że wraz z

likwidacją gimnazjów zmieni się także wiek uczniów i ich przygotowanie na danym etapie nauki – marzenia o tym, że Polska szkoła będzie uczyła nie tylko faktów, ale także pracy zespołowej czy kompetencji miękkich, stały się jeszcze bardziej odległe. Robi to zapewne garstka zapaleńców w szkołach publicznych i prywatnych, ale tego rodzaju działania pozostają swoistą dywersją: państwo w żaden sposób ich nie wspiera, a jego oficjalne wytyczne wręcz dają im odpór.

Nauczyciel to zawód zaufania publicznego, a jednocześnie w tej kategorii jest to profesja chyba najgorzej wynagradzana. Z zestawienia przygotowanego przez autorów bloga Neuropa wynika, że w 2012 roku wynagrodzenie nauczyciela dyplomowanego wynosiło 88 proc. średniej krajowej, w 2018 już tylko 72 proc. Ponieważ nauczycielskie pensje nie tylko nie odzwierciedlają wzrostu płac w rozwijającej się gospodarce, ale pozostają za nim daleko w tyle, strajk nauczycieli z pierwszej połowy 2019 roku, jak na razie zawieszony, nie powinien dziwić.

Jednak rząd nie tylko nie był na te działania przygotowany, ale skonfrontowany z protestem nauczycieli wybrał strategię dyskredytowania i dzielenia środowiska nauczycielskiego. Zamiast potraktować poprawę poziomu życia nauczycieli za istotny cel państwa i gwarancję realizowania przez szkoły kluczowych dla jego rozwoju zadań, partia rządząca zdecydowała się na konfrontację i niszczenie wizerunku jednej z najistotniejszych profesji zaufania publicznego.

W wielu krajach nauczyciele są liderami, jeśli chodzi o zaufanie publiczne – i jest to traktowane jako dowód na właściwe realizowanie przez państwo jednego z podstawowych zadań, jakim jest oświata. W badaniu firmy Kantar, zrealizowanym w trakcie strajku, nauczyciele znaleźli się na pierwszym miejscu wśród zawodów zaufania publicznego w Polsce.

Jednak w badaniach porównawczych, przeprowadzonych przez firmę GFK, respondenci w Polsce ufali im rzadziej niż badani w jakimkolwiek innym kraju Unii Europejskiej. Dla rządu

dbającego o rozwój społeczny te dane powinny być sygnałem do działania i poszukiwania sposobu poprawy zaufania do nauczycieli. Jednak w Polsce rządzonej przez PiS uzasadnione postulaty płacowe stały się sygnałem do rozprawy z nauczycielami.

Coraz więcej nierówności

Do dziś skuteczna walka z czarną legendą gimnazjów poprzez ich likwidację pozostaje w zasadzie jedynym skutkiem reform edukacyjnych PiS. Zapłaciliśmy za ten propagandowy efekt wysoką i całkiem realną cenę.

Odwrócone zostały pozytywne trendy takie jak przyznawanie szkołom i odpowiedzialnym za nie samorządom większej autonomii oraz zmienianie systemu szkolnego tak, aby wyrównywał szanse życiowe uczniów. Rozpoczęto konflikt z całą grupą zawodową nauczycieli i nie zanoszą się, aby ten spór prędko doczekał się pozytywnego rozstrzygnięcia.

Na dzieci nałożono zaś rozdmuchane, oderwane od rzeczywistości wymagania, potęgując przewagę uczniów z zamożniejszych i lepiej wykształconych domów, gdzie rodzice mają czas, środki i kompetencje, by uzupełnić szkolne lekcje korepetycjami.

Polska szkoła stała się w efekcie jeszcze bardziej nierówna, a bezpieczniejsza jest tylko w teorii.

Autorstwo: Paweł Marczewski

Źródło: Trybuna.info